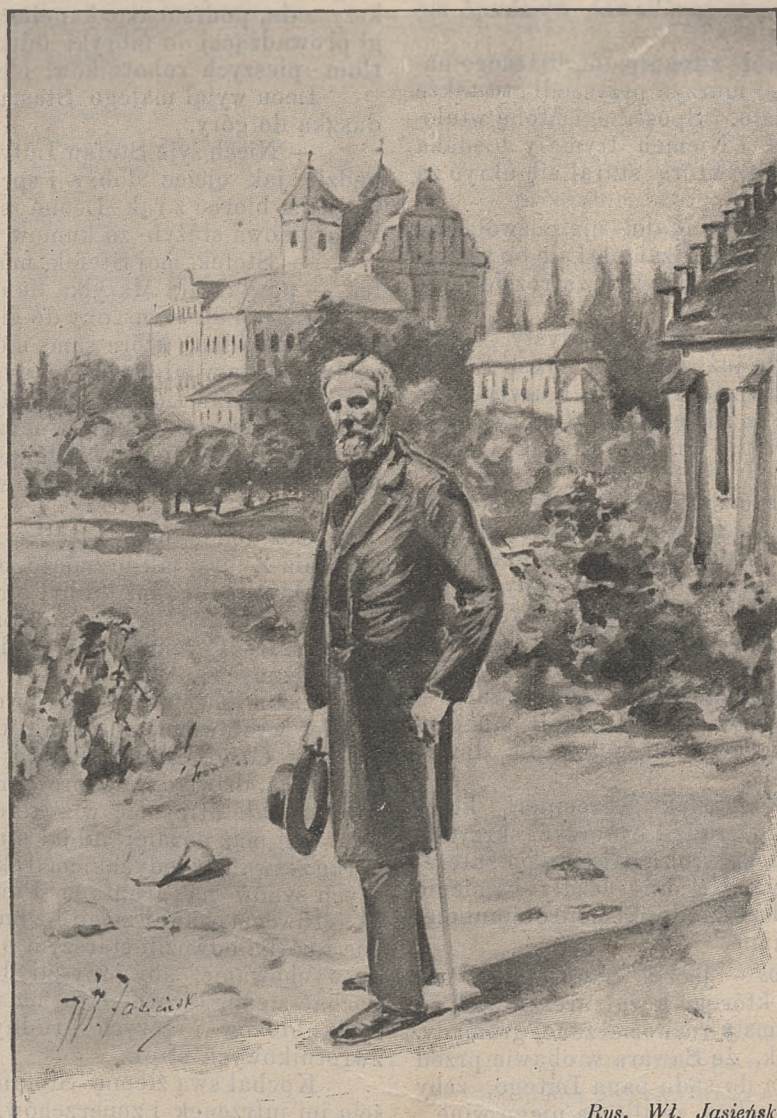


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Rys. Wł. Jasiński.

Często o cichym wieczorze chodził pan Stefan na cmentarz Wągrowiecki.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dokończenie).

Puść! krzyknął Stefan i chwycił kupca za włosy. W rękach została mu ruda peruka i ruda broda wendysty, a tymczasem mniemany Bulgar z tem większą wściekłością dusił Leona. Ten jednak nie bronił się już. Wytrzeszczył przerażone oczy, zamarło w nim życie ze zgrozy.

— Jacek Żądło! — zawołał Stefan i targnął tak silnie rabusiem, że ten puścił swoją ofiarę.

Tak! towarzysz Salcmama i Szwarca, miał się z kolei dostać w ręce sprawiedliwości. Stefan teraz dopiero zrozumiał, dla czego kupiec prześladował go swą nienawiścią.

Suterenę zapelnili tymczasem uczestnicy bójki i policya przybyła w celu rozpędzenia zbiegowiska.

— Co tu robisz w mojej piwnicy? mamy z sobą dawne rachunki, powinienbym oskarżyć cię o współnictwo z Salcmamem, ale żądam tylko, abyś wyznał natychmiast skąd się tu wzięłeś? — pytał Stefan rozkazującym tonem. Ogłoszony i potłuczony Żądło chciał nadrobić zuchwalstwem wyglądając jednak tak nędznie, jego przyprawne włosy i broda wzbudziły tyle podejrzeń, że spróbował wymknąć się z sutereny.

— Proszę spisać protokół z tego pana, dlaczego nachodzi mój dom, dlaczego jego murzyn przyszedł tu także mówił Stefan do pana San Majo. Spojrzał Mohe wtulonego w kącie sutereny, Warta i Niemen trzymały biedaka w obłężeniu wraz ze skrzynką, którą starał się ukryć za sobą.

— Don San Majo! Don San Majo! nie pozwól, aby uczyniono mi krzywdę wołał Sawara. Szamotał się bo schwytali go koloniści i grozili obcięciem języka, za rozsiewanie plotek przeciw panu Lutemu.

Don San Majo, pamiętny na pingę wendysty, chciał przyjąć mu z pomocą, ale było już zapóźno. Jeśli Stefan miał przeciw sobie stronnictwo zachowawcze Kurytyby, to Sawarę nienawidzono ogólnie za zdradę. Gniew tłumu zwrócił się teraz przeciw niemu. Próżno rzeźnik Coelho krzychał ochrypłym głosem.

— Milion rejsów! odebrać milion rejsów — nikt nie słuchał poduszczeń pijaka; wszyscy wygrażali kupcowi, urągając jego nędznej postawie. Ruda peruka i broda leżały zdeptane na ziemi, a czarne włosy Jacka zdawały się podnosić z przerażenia. Zrozumiał, że jest zgubiony.

— Senor! Senor! one mnie zagryzą! — jęczał Moha, rzucając skrzynkę i uciekając przed psami.

— Cascarel! syknął przez zaciśnięte zęby Sawara — próbował znów wycofać się z sutereny. Zastąpił mu drogę Wojciech Skiba, on miał także do uregulowania dawny i ciężki rachunek.

Tymczasem praktyczny Mosiek Rozemperl, który przyszedł bronić pana Lutego, radził otworzyć skrzynkę Sawary. Policyant uchylił wieko, rozsypały się po suterenie banknoty różnej wielkości. Na dnie leżały kamienie litograficzne, z ich pomocą fałszerz odbijał podrobione pieniądze. Powstał zgiełk w tłumie.

— *Cuesta de sufrimientos* — jęczał San Majo — odwracając się od zbrodniarza, którego kazał aresztować, co ocaliło na razie Sawarę od zemsty rozwścieczonej gromady. Teraz rozumiał nawet rzeźnik, że Sawara w obawie przed śledztwem, zakradł się z Mohą do sadu pana Lutego, żeby podrzuceniem dowodów fałszerstwa zwalić na niego winę.

Plan zręcznie obmyślany byłby się udał, gdyby nie czujność Leona i interwencja rzeźnika. Jacek Żądło wpadł we własne sidła. On to podburzył Coelho przeciw Stefanowi i pijak wtargnął do ogrodu o świcie, w chwili

kiedy Sawara, opóźniony skutkiem walki, jaką stoeżyć musiał z psami, przemykał się ze skrzynką ku domowi. Leon nie spał wcale tej nocy, pierwszy też usłyszał zgiełk i wybiegł na werendę wtedy właśnie, kiedy mniemany Bulgar dopadł już sutereny. Ziemiak chował w niej kosze z owocami, sutereana była ciemna, ale on orjentował się doskonale, spostrzegł też dwie postacie idące niepewnym krokiem. Swisnął na psy, które choć ranne, przybiegły do niego natychmiast, i dopadłszy pierwszego złodzieja, powalił go na ziemię. Psy targały tymczasem murzyną.

— Ocaliłeś mi życie, teraz ocalasz dobre moje imię — mówił Stefan, ściskając Leona — gdyby nie ty, rzucone posądzenie nabrałoby mocy, i kto wie...

Wzdrygnął się. Najdroższym skarbem człowieka jest przy czystym sumieniu nieskazitelność jego sławy.

Tymczasem ucichła wrzawa bójki, zawstydzeni stronnicy rzeźnika wymykali się z ogrodu, ale dziedzic Stefana nowego dworku zaludnili koloniści i robotnicy fabryczni. Spieszyli stwierdzić swoje dla niego przywiązanie.

— Niech żyje pan Luty! — on mnie uratował od tego samego łotra, którego teraz sądzić będą — krzyknął pierwszy Wojciech Skiba.

— Niech żyje Stefan Luty! — wołał Jasiek flecista i Grześ Kobiela i pan Józef Korda i Bartek Sęk i Wicek skrzypiciel.

— Niech żyje! niech żyje! brzmiało ze wszystkich piersi. Koloniści dosiedli koni, czas im było spieszyć na targ. Banderya jeźdźców, uszykowana w zwarty szereg krzyczała, podrzucając kapelusze „Niech żyje” A z drogi prowadzącej do fabryki odpowiadał gromkim okrzykiem tłum pieszych robotników: niech żyje Stefan Luty!

Leon wyjął małego Stasia z kołyski podniósł go z poduszką do góry.

— Niech żyje Stefan Luty, niech żyje jego syn. Niech będzie jak ojciec dobry i sprawiedliwy — zawołał stary Grażela, biorąc z rąk Leona swego chrześniaka, bo on to i Marciniowa służyli za kumów państwu Lutyn.

— Stefek, mój Stefek, mój dobry, najukochańszy Stefek — powtarzała Marylka dumna i szczęśliwa.

A Stefan, wzruszony do głębi serca, ślubował zostawić synowi nazwiko, które sam niósł czyste, przez troski sieroctwa, pokusy młodości, trudy męskiego wieku.

— Stefan Luty, tak! znajda a potem ślusarz, brat biedaków, co się z nim żył w mozołe pracy, w niebezpieczeństwie przygód — myślał tłumiąc z trudnością łzy. Ale dał zaraz — i wasz syn wierny, wy zmarli, nieznani a drodzy!

Cóż dodać mogę * jeszcze do historyi Stefka Lutego, Witolda Żubra, jak brzmiało prawdziwe jego nazwisko?

Opowiadano mi, że był on nietylko szczęśliwym ojcem sześciu dzielnych synów i córki jedynaczki, ale że zasłynął w całej Paranie, jako opiekun słabych i obrońca pokrzywdzonych.

Leon Ziemiak zmarł wcześniej. Stefan uczcił jego pamięć wystawieniem szpitala dla niedołężnych.

— *Casa miserabilissima Santa Leone* — mówili Brazylijczycy, dziwiąc się wzorowemu porządkowi, jaki pani Lutowa umiała utrzymać w zakładzie.

Jej mąż później oddał starszemu Stachowi fabrykę, córkę zeswatał z jedynakiem Jakóba O'Cleara, osadził młodszych synów na gruntach Parany a sam kupił sobie pod Wągrowcem kawał ziemi i zamieszkał tam z żoną. Synowie i córka odwozili starszym państwu Lutym dzieci swoje na wychowanie, aby przyszli Parańscy koloniści uczyli się kochać ziemię ojców. Kto na niej wyrósł, nie zamieni szarych obłoków i szarych grudnych pól na bogactwa podzwrotnikowych stref.

Kochał swą ziemię Stefan Luty, lubował się pięknoscią jej jutrzeńek i zmierzchów. Często o cichym wieczorze, chodził drogą wiodącą do cmentarza, na którym spoczywał opiekun jego młodości, proboszcz wągrowiecki. On to rozbudził w nim podniosłe dążenia, on nauczył kochać braci bliźnich.

Gdyby więcej takich. Cześć jego przeznaczej pamięci...

... Gdyby więcej takich! Przy warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus wychowuje się w tej chwili dwieście kilkadziesiąt dzieci niewiadomych rodziców, sierot bez nazwiska. Kto wie, ilu wśród nich otrzymało od Boga wielkie zdolności, lub co ważniejsze może gotowe do poświęcenia serce nosi w piersiach. Trzeba tylko gorącej ręki, która pomogłaby zejść ziarnu, złożonemu przez Opatrzność w duszach bezimiennych sierot.

Dzieciątka Jezus daje schronienie bezdomnym, daje im wy, młodzi, wychowani na łonie rodziny, przyjaźń szlachetnych serc waszych. Obalajcie przesady, budujcie światu przyszłość szczęśliwszą i sprawiedliwszą. Budować zawsze warto.

K O N I E C .

Młodości moja.

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!

Prowadź do celu i drogą cierniową,

Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,

Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.

Młodości moja! i nad mojem czołem

Możesz się wznosić z poświęcenia wieńcem,

Bylem ludzkości został ulubieńcem...

Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi wierną tarczą!

Ośłoń me piersi przed niemęską trwogą,

Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,

Kiedy je cierpień ciężary obarczają.

Chociaż pioruny nade mną zawarczą,

Niechaj, jak prorok przed Bożym narodem

Z sztandarem wiary postępuję przodem...

Młodości moja! bądź mi wierną tarczą!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!

Każda myśl moja niech się zazieleni

W sercach mych braci, niech się tam rozpleni,

Co ma być białem, niech nie będzie czarnem.

Młodości moja, nie bądź mi snem marnym —

Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,

By z niej się późno żyć uczyły syny...

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem.

K. Ujejski.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XVIII. Atomy mogą wstępować w związki wielokrotne.

Widzimy, że dwie objętości wodoru, łącząc się z jedną objętością tlenu, dały dwie, nie zaś trzy objętości pary wodnej, że zatem gazy złączone chemicznie zajmują mniejszą objętość, aniżeli niezłączone, to znaczy tworzące zwykłą mieszaninę. Podobnie dzieje się z wielu innymi związkami. Wiemy na przykład, że z 3-ch objętości wodoru i 1 objętości azotu, tworzy się nie 4, lecz tylko 2 objętości amoniaku. I tutaj więc gazy, łącząc się chemicznie, ulegają zgęszczeniu. Nie możemy sobie inaczej wytłumaczyć tego faktu, jak tylko przypuszczając, że puste przestrzenie pomiędzy atomami zmniejszyły się.

Najłatwiej możemy dowieść istnienia pustych przestrzeni pomiędzy atomami, czyniąc doświadczenia z cieczami.

Weźmy szklaną wodę i szklaną kwasu siarczanego. Zdawałoby się, że zlewając do jednego naczynia te dwie ciecz, otrzymać powinniśmy dwie szklanki mieszaniny; tymczasem otrzymujemy znacznie mniej. To samo możemy obserwować na wodzie i spirytusie. Rzecz więc jasna, że oprócz pomieszczenia się dwóch płynów, musi jeszcze odbywać się tutaj zbliżenie pomiędzy ich atomami, inaczej bowiem mieszanina nie mogłaby zajmować mniejszej objętości.

Możemy zapewnić czytelników, że uczyniono wiele tysięcy doświadczeń, zanim zdecydowano się przypuścić istnienie atomów; następne zaś doświadczenia potwierdziły tylko owo przypuszczenie.

Jeżeli jednak odbywa się łączenie atomów w pary, to jak wytłumaczyć ten fakt, że jeden pierwiastek tworzy z drugim pierwiastkiem związki rozmaitego stopnia.

W jednym z powyższych rozdziałów widzieliśmy, że 28 gramów azotu może się połączyć z 16 gramami tlenu, z 32 ma, z 48-ma, 64-ma, a nawet z 80-ma. Skądże to pochodzi, jeżeli atomy układają się parami? Czyżbyśmy mieli przypuścić, że w 28 gramach azotu znajduje się tyleż atomów, co w 16 gramach tlenu? W takim razie, jak wytłumaczyć powstawanie tych dalszych związków, w których przybywa ciągle po 1 porcyi tlenu?

Na to dajemy następującą odpowiedź:

Najprostszym objaśnieniem związku chemicznego jest bez zaprzeczenia tworzenie przez nie par. Jednakże możemy sobie wyobrazić, że obok 1 atomu azotu, albo jakiegokolwiek bądź innego pierwiastku układa się nie tylko 1 ale nawet 2, 3, a nawet 5 atomów drugiego pierwiastku. I rzeczywiście tak być musi w wielu wypadkach. Jeżeli rzeczywiście atomy azotu w pewnych warunkach przyciągają atomy tlenu, to jeszcze nie dowodzi, że siła przyciągająca znika zupełnie, skoro 1 atom azotu łączy się z 1 atomem tlenu. Skłonność azotu do łączenia się z tlenem może być przez to jeszcze nienasycona, widzimy bowiem, że każdy pojedynczy atom azotu może utrzymać przy sobie 2-gi, 3-ci, 4-ty, i 5-ty atom tlenu. Wyobraźmy więc sobie, że zbliżając w pewnych warunkach pewną liczbę atomów azotu do pewnej liczby atomów tlenu, zaspakajamy równomiernie apetyt wszystkich pojedynczych atomów azotu. Jeżeli było niewiele atomów tlenu, to każdy atom azotu otrzymuje tylko po 1 atomie tego pierwiastku; jeżeli zaś tlenu jest więcej, to każdy atom azotu może otrzymać 2, 3, a nawet 5 atomów tlenu. Skoro każdy atom azotu otrzyma 5 atomów tlenu, to według naszych dotychczasowych wyjaśnień, apetyt jego zaspakaja się zupełnie, przyczem powstaje związek tak zwany nasycony. Jeżeli później będziemy dodawali jeszcze więcej tlenu, to już nie połączy się on z azotem.

Chemia zna jednak i związki, któreby można nazwać przesyconymi, albowiem pierwszy atom złączył się w nich z większą ilością atomów drugiego pierwiastku, aniżeli było ich potrzeba do nasycenia jego apetytu.

Tak na przykład wodór może przyjąć o 1 atom tlenu więcej, aniżeli wówczas, gdy tworzy z nim wodę. Związek taki nazywa się wodą utlenioną i zawiera dwa atomy zamiast jednego w cząsteczce. Otóż taka woda utleniona

jest przesyconym związkiem, który bardzo łatwo rozpada się na wodę zwyczajną i na tlen, to znaczy, że przy lada sposobności wodór pozbywa się nadmiaru pochłoniętego tlenu.

Okoliczność ta, że dla wytworzenia związku wyższego stopnia trzeba dodawać coraz to nowy atom pierwiastku do związku niższego stopnia, stwierdza teorię atomów, zamiast ją obalać.

Wł. U.

Dzień 10 Listopada 1444 r.

Dzień ten zapisał się żałobnemi zgłoskami w dziejach chrześcijaństwa, jako dzień zwycięstwa Turków pod Warną, które przyczyniło się do ugruntowania ich potęgi na długi szereg lat. Poległ na tem pobojowisku kwiat młodzieży polskiej i węgierskiej i poległ młodzieutki król Władysław, uniesiony szlachetnym choć nieopatrzny zapalem. Zostawiał po sobie żal powszechny i wielkie imię.

Grób jego — Europa, słup —
[śnieżne Bałkany]
Napis — wieczna pamiątka mię-
[dzy chrześcijanami.]

Tak napisał o Warneńczyku Jan Kochanowski, a Jan Matejko w jednym ze swych najpiękniejszych obrazów, przedstawił chwilę, gdy otoczony zewsząd przez janczarów pada pod ich ciosami.

Opis bitwy podajemy poniżej. *)

„W ciemną noc listopadową 1444 roku zastępy chrześcijańskie rozłożyły się pod Warną, w nader obronnem położeniu, mając za sobą limany i błota nadmorskie, z boku Dziewińskie jezioro, z drugiej zaś strony cieśninę Galatę. Wdali, na krańcach widnokregu widać było góry Rumeli u których stóp na równinie błyszczały ognie tureckiego obozu.

Około dziesiątej godziny z rana czaty węgierskie cofnęły się ku obozowi, donosząc, że przednia straż turecka ukazała się już z za wzgórza. Wszyscy dowódcy poskoczyli natychmiast ku swoim hufcom, dodając im zachęty gorącemi słowy,

Dopiero około południa czoło wojsk tureckich ukazało się na równinie. Ziemia drżała pod ich stopami, łoskot podobny temu, jaki wydaje gradowa chmura, gdy idzie ponad lasy, zwiastował ich przybycie! Zaiscie wspaniały i groźny był to widok! Sto tysięcy bisurmanów stało naprzeciwko wojska chrześcijańskiego, uszykowane w półkieszy. Słychać było niby szum wód na wiosnę; wreszcie przebraźliwa, dzika janczarska muzyka rozległa się w szeregach,

z poza których wysunęła się wielka, zielona chorągiew Prooka, zwiastująca, że sam władca wiernych we własnej osobie prowadzi swoje zastępy.

I czegoż tam nie było! Wszystkie kształy, wszystkie barwy zmieszały się z sobą. Buńczuki powiewały jak las, zdradzając, w którym miejscu stali dowódcy.

Pierwszem skrzydłem olbrzymiej armii dowodził begler bej Rumelii, stary Turakan, lewem Karadsza, begler bej Antolii, mający wśród swoich zastępów Arabów i Syryjczyków.

Jakże się małym wydawało wojsko chrześcijańskie wobec tej potęgi! Młodzieutki król Władysław zajął środek szyku bojowego otoczony pięciuset jazdy polskiej; powiewała nad nim wielka chorągiew św. Jerzego, niesiona przez Stefana z Bator; Hunyady objął naczelne dowództwo nad całym wojskiem.

Amurat wysłał najpierwej sześć tysięcy najdzielniejszych jazdy, która spuściwszy się ze wzgórzy, rozproszyła się po równinie i chmurę strzał wypuściła na wojsko chrześcijan.

W tejże chwili w szeregach węgierskich odezwały się trąby. Przed czołem wojska przeleciał Hunyady, cały odziany w czarną zbroję; natychmiast też prawe skrzydło ruszyło do ataku.

Turcy nie wytrzymali tego pierwszego natarcia chrześcijańskiej jazdy; poczęli się cofać i chronić na wzgórza, ścigani i tam przez napastników. Jednocześnie wszakże prawe skrzydło, zapędziwszy się za uciekającymi Turkami, dostało się na bagna; Turcy, widząc to, zwrócili się i jak burza rzucili się na chorągiew św. Władysława, a zabijwszy dowódcę, Leszka z Bóbrku, wozy i amunicję zabierając poczęli. Ujrzawszy to król razem z Hunyadym popędził w tę stronę, by ocalić wozy, jedyną ochronę wojska w razie przegranej.

Za ich przybyciem los bitwy zmienił się odrazu, król jak młody lew rzucił się na

wrogów, parł ich, gnał przed sobą z taką natarczywością, że poczęli uciekać bez upamiętania. Wtedy Hunyady, bojąc się, by się nie zapędził zbyt daleko za uciekającymi, odwołał go w inną stronę, gdzie młody Drakula i kardynał Cezarini, otoczeni przez Turków, żądali pomocy. Tu bowiem najkrwawsza bitwa się zawiązała i gdy król nadbiegł, doszła do szczytu zaciełności ze stron obu. I nie dziw, to już nie dwa wojska walczyły z sobą, ale Azya i Europa, krzyż i półkieszy — potęga ducha naprzeciw potęgi fizycznej.

Zrazu nie widać było, która strona bierze górę, — coś tylko zakłębiło się, zakotłowało, hufce idące za królem znikły w powodzi nieprzyjaciół, która się za nimi zamknęła. Aliści po jakimś czasie proporce ich ukazały się daleko wśród wrogich zastępów. I hufce te małe liczbą, ale wielkie odwagą i męstwem, siały dokoła siebie śmierć i zniszczenie. Trzy tysiące Turków padło w tem starciu — reszta, uciekając ku Adrianopolowi, zaniosła tam wieść o przegranej. Władysław w tej chwili jakby urosł na olbrzyma; jego ramię niestrudzone zadawało i odbijało ciosy,

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu.”



Wspólnie przypatrywaliśmy się w grobowem milczeniu.

*) Jest to wyjątek z niedrukowanej powieści p. t. „Orli ród” M. Łopuszańskiej.



Bitwa pod Warną.

Jan Matejko.

jak błyskawice. Szlachetna krew w nim zagrała; czuł w sobie tyle zapału i więcej odwagi, że sądził się być zdolnym powalić całe wojsko muzułmańskie. A za nim pędził jak huragan jego nieodstępny hufiec młodych rycerzy, których on był duszą i gwiazdą przewodnią.

Amurat stał ze swymi janczarami w samym środku, zasłonięty głębokim rowem i ostrokołem; przed nim wetknięty był w ziemi buńczuk jedwabny i na wysokiej żerdzi utkwiony odpis zerwanego przez chrześcijan traktatu. Widząc porażkę swoich, sułtan nagle zawrócił konia do ucieczki, lecz nadbiegł Karadsza, begler bej anatolski i chwyciwszy za uzdę rumaka, zawołał:

— Władco wiernych, zwycięstwo cię czeka!

Amurat wstrzymał się wtedy i patrzył z brwią ściągniętą na toczącą się u stóp jego walkę; czarna jego broda, przewijana tu i owdzie srebrnymi nićmi, powiewała jak chorągiew, a na turbanie wznosiła się biała czapla kita, spięta dyamentem. Odrazu odzyskał spokój i panowanie nad sobą, a gdy nadbiegł król Władysław i o kilkadziesiąt kroków od niego powalił Karadszę, poczem popędził śmiało na janczarów otaczających sułtana, ten wskazując nań, rzekł do agi janczarskiego:

— Tego potępienca odłączcie od jego orszaku, gdy w poród was będzie wpadał, rozstąpcie się, potem nagle się zamknąwszy, zabijcie, a dokonacie przyjemnego Allachowi czynu! — Posłuszni janczarowie, gdy król pędził w tę stronę rozstąpili się, czyniąc mu drogę i wnet zawarłszy się, opasali go w koło. Daremnie zrozpaczony Hunyady chciał pospieszyć mu na pomoc, już dotrzeć doń nie mógł.

Tymczasem chrześcijanie, gdy nagle rozeszła się pogłoska, że Władysław zginął, lub pojmany, poczęli się mieszać i cofać, i to właśnie w chwili, kiedy Turcy równie tył podawali. Tak równocześnie obie strony ustępować zaczęły nieświadome własnego losu. Turcy jednak widząc cofanie się oraz małe zastępy chrześcijan, zatrzymali się nagle i z napastowanych, zamienili się w napastujących.

Dzikie okrzyki „Allach, Allach,” świadczyły o ich tryumfach.

Nad wieczorem, po skończonej bitwie, przejeżdżał sułtan po polu trupami zasłanem: za nim jechali dostojnicy: Turak, begler bej rumelijski, Jusidzi Toghana, aga janczarów, Azeb-bej, dowódzca straży przybocznej. Sułtan oglądał uważnie ciała poległych chrześcijan, dziwiąc się ich sile i potężnemu wzrostowi, aż wreszcie zwrócił się do wiernego dowódcy swej straży.

— Co to znaczy Azeb, iż między tyłu niedowiarka-mi żadnego nie widziałem z siwą brodą?

— Padyszachu, odpowiedział Azeb—gdyby między nimi był choć jeden siwy starzec, nigdyby na ten koniec nie przyszli; płochość młodości tak drogo opłacili.—Sułtan kazał zdjąć z poległych 25 złocistych pancerzy i posłał je do Egiptu, aby tam wiadano, jak silni i rośli byli ludzie, których on zwyciężył.

Hunyady nadaremnie próbował ocalić przynajmniej zwłoki króla, przekonawszy się w końcu, że wszystko stracone, zgromadził garstki niedobitków, rozproszone po polu i uprowadził je ku granicom Węgier.

Los młodego króla długi czas okryty był tajemnicą; najsprzeczniejsze wieści obiegały o nim. I długo jeszcze Polacy nie wierzyli, że poległ i z upragnieniem spoglądali w stronę Węgier, czy nie ujrzą stamtąd powracającego młodego wojownika, którego popioły dawno już rozwiął wiatr czarnomorski.

I tak z całej tej nieszczęśliwej wyprawy nie zostało nic, prócz żalostnego wspomnienia i owego przydomku Warneńczyka, który przy imieniu syna Jagiełły świeci jak wieńiec męczeski. Dopiero szereg długich walk i poświęceń w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat: Chocim, Wiedeń, Parkany złamały potęgę turecką.

A za dusze poległych pod Warną aż po dziś dzień w wielu kościołach, gdy skończą dzwonić na „Anioł Pański,” jeszcze dziewięć razy odzywają się dzwony.”

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Selenici.

Siedząc tak skulony i nieszczęśliwy, zacząłem się zastanawiać nad tem, w jaki sposób mogłem się znaleźć w tej pieczarze.

— Cavorze — zawołałem — skąd wzięliśmy się tutaj? Nie było odpowiedzi. Dreszcz mnie przejął. — Cavor! — zawołałem głośniejszym głosem — czy ty tu jesteś?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem jęk. — Moja głowa! moja głowa!

I mnie głowa bolała okropnie, chciałem ją ścisnąć oburącz, lecz uczulem, że ręce mam skute łańcuchem. Przerażony, chciałem zerwać się na nogi, ale te także były skute, a co gorsza, ciało moje opasywały grube okowy, których koniec przykuty był do ściany tego więzienia. Ogarnęła mnie rozpacz.

— Cavorze! — zawołałem — jestem w kajdanach, czemu skułeś mi ręce i nogi?

— To nie ja cię skułem — była głucha odpowiedź! — To Selenici musieli skuć nas obu.

Selenici! Ten jeden wyraz przypominał mi wszystko. Te niespodzianki, które nas spotkały od chwili naszego przybycia na księżyc, ta kolczasta roślinność, która wyrosła w przeciagu kilku godzin i ukryła naszą kulę, ta pełzająca wędrowka na odszukanie jej, owa przepaścista szczelina, otwierająca się nagle przede mną, pożeranie czerwonych grzybów, na to wspomnienie uczulem silniejszy ból w głowie, a później... już nic nie pamiętałem, gubiłem się więc w domysłach.

— Cavorze! — zawołałem znowu.

— Co?

— Gdzież jesteśmy?

— Alboż ja wiem?

— Możemy już umarł?

— Co za głupstwo!

— Więc to oni nas uwięzili?

Cavor zamiast odpowiedzi jęknął głucho. Dawny jego spokój opuścił go. Widziałem, że zdradzieckie grzyby podziały na niego drażniaco.

— Co teraz zrobimy? — zapytałem bojaźliwie.

— Skąd ja mam wiedzieć? — odrzekł gniewnie.

— I ja też nie wiem — odrzekłem ponuro, i pogrzyżłem się w milczeniu, lecz zwykłe mruczenie Cavora, gdy się nad czem bardzo zamyślił, obudziło mnie z zadumy.

— Boże miłosierny, który panujesz nad księżycem zarówno jak i nad ziemią i nad całym wszechświatem, nie opuść nas! Zacząłem mówić Ojcie nasz. Modlitwa dała mi otuchy. — Przestańże pan raz tak mruścić — zawołałem — poradź co lepiej!

Cavor unikł natychmiast i cisza zapanowała, ale gdzieś z oddali dochodził jakby gwar uliczny albo hałas fabryki w ruchu. Nie mogłem odgadnąć, co właściwie powodowało te dziwne odgłosy, starałem się nie myśleć o niczym, oparłem zboląłą głowę o ścianę więzienia i siedziałem cicho, czekając zmiłowania Bożego.

Naraz dziwny jakiś szelest, niby szamotanie się ptaka w ciasnej klatce, zwrócił moją uwagę. Spojrzałem bacznie dokoła, ale nic nie dojrzałem wśród otaczającej mnie ciemności. Po chwili usłyszałem wyraźnie lekki zgrzyt otwieranego zamka i na czarnem tle więzienia ujrzałem wąską smugę światła.

— Patrz! — szepnął do mnie Cavor.

— Co to może być?

— Ja nie wiem.

Jak w promyk nadziei wpatrzyliśmy się w ten promień światła. Ku naszej radości stawał się coraz szerszy, aż usłyszeliśmy dokładnie otwieranie drzwi i całą ścianę za naszymi plecami oblało jakieś błękitnawe światło. Obróciłem głowę w tę stronę i zobaczyłem dziwną postać Selenity, posuwającą się ku nam. Kroków jego nie było słychać, posuwał się naprzód, jak mara czy widziadło, zatrzymując się, jakby coś nasłuchiwał.

Cały obłany jasnym światłem, rysował się wyraźnie przed naszymi oczami. Napróżno w jego głowie dopatrywałem rysów ludzkich, twarz ta, jeżeli to twarzą nazwać można, była jakby czemś zakrytą. Zamiast nosa i ust miał dużą paszczę, po bokach wielkie, wypukłe oczy, uszów nie miał chyba wcale. Miał na sobie długą szatę, okrywającą go od góry do dołu, więc rąk jego i nóg wcale widać nie było.

Wspólnie przypatrywaliśmy się sobie w grobowem milczeniu.

Jak mnie się dziwną wydała jego postać, tak samo on przyglądał nam się z ciekawością. Bo też dziwnie wyglądał w tej chwili. Brudni, z podrapanymi twarzami przez kolczaste rośliny, przez które przedzieraliśmy się, pokrwawieni, z długimi brodami i rozczochranymi włosami, w ubraniu podartem i poplamionem czerwonymi grzybami, bez obuwia, bo nam je Selenici zdjęli, podobni byliśmy raczej do straszylek niż do ludzi.

Cavor pierwszy przemówił do niego, lecz nie był to zwykły czysty, wyraźny głos Cavora, ale jakiś dźwięk ochrypły, stłumiony. Towarzysz mój mocno odchrząknął i chciał dalej mówić, lecz w tej chwili dał się słyszeć na zewnątrz straszny jakiś ryk, który ucichł wkrótce, i znów cisza zaległa nasze więzienie. W tej chwili Selenita odwrócił się, by odejść, przystanął chwilę przed drzwiami; wyszedł, zamykając je za sobą, a my znów pozostaliśmy w ciemności.

XII.

Kładka nad przepaścią.

Siedzieliśmy tak, milczący, pogrążeni w rozpaczny czas jakiś, wreszcie pierwszy przerwałem milczenie.

— Te dziwne istoty mają nas w swej mocy.

— A wszystko to zrobiły owe czerwone grzyby — rzekł Cavor z goryczą.

— Ale gdybyśmy ich nie zjedli, tobyśmy pomarli z pragnienia i głodu.

— Moglibyśmy byli odszukać nasz szklany domek.

Złość mnie porwała na Cavora, i zacząłem głośno przeklinać całą naszą wyprawę, księżyc i Selenitów. Biłem pięściami w podłogę więzienia, szarpałem moje więzy, miotalem się jak potępieniec. Zmęczony tym wybuchem, uciłem i dopiero po długiej przerwie zapytałem Cavora z pokorą:

— A jednak, co pan myślisz o tem wszystkim?

— Myślę, że Selenici są mądrzejsi od nas, gdyż umieją robić rzeczy, o których my ludzie dotąd nie mamy pojęcia.

— Tak? Sądzę jego o tych strasznych obrazach moją dumę. Milczałem, a Cavor mówił dalej:

— Zdaje mi się, że jesteśmy o parę tysięcy stóp pod powierzchnią księżyca.

— Skąd pan to wnosisz?

— Bo tu jest chłodniej niż na powierzchni i głosy nasze brzmią donośniej; nie czuję także tego nieprzyjemnego tętnienia w uszach, co dowodzi, że powietrze tutaj jest gęstsze,

musimy więc być obecnie na jaki kilometr we wnętrzu księżyca.

Cavor zamyślił się głęboko. Nędzny więzień Selenitów odzyskał znów równowagę umysłu i spokój uczonego.

— Widzę — rzekł po chwili — że twierdzenie Keplera było zupełnie słuszne. Tak, księżyc jest planetą wulkaniczną formacji, nie jest on tak zbitą masą, jak ziemia nasza, lecz pod całą jego powierzchnią znajdują się obszerne groty i pieczary, okalające wewnętrzne morze; różni się bardzo od ziemi i tem jeszcze, że na zewnątrz posiada bardzo mało wody i powietrza.

— Szkoda, że pan tego nie wiedziałeś, zanim przyjechalibyśmy tutaj — odparłem z wymówką.

Nic mi nie odpowiedział, zaczął tylko mruczeć po swojemu, jak zwykle wtedy, gdy zamyślił się nad jakimś zagadnieniem naukowym. Zazdrościłem mu jego spokoju, a czując się bardzo nieszcześliwym, spytałem go znowu:

— Co pan jednak sądzisz o tem, co się stało z naszą kulą?

Stracona — odpowiedział lakonicznie, a w głosie jego brzmiała najzupełniejsza obojętność.

Ta jego obojętność doprowadzała mnie do wściekłości.

— Boże! — zawołałem — więc na to poświęciłeś pan tyle lat pracy, całe swe mienie, na to naraziliśmy życie nasze, aby twój genialny wynalazek, ta substancja nie podlegająca sile przyciągania, ta sfera nasza stała się zdobyczą Selenitów, a my obadwaj zostali ich więźniami na zawsze? Czyż nie lepiej było zastosować pański cavorit do praktycznych celów na ziemi, ach, na naszej drogiej ziemi, zamiast lecieć na złamanie karku — dokąd? na księżyc! aby wpadać z jednego nieszczęścia w drugie!

W czasie całej mojej tyrady, Cavor mruczał coś tylko ale ta myśl, że Selenici mogli znaleźć nasz szklany domek, zwróciła jego uwagę.

— Hm, to prawda — rzekł — jeżeli go znaleźli... Co oni też z nim zrobią? To ciekawe pytanie! Oni w żaden sposób nie rozumieją, co to jest, bo gdyby rozumieli podobne rzeczy, toby już oddawna przyjechali na ziemię. Cóżby im przeszkadzało? W każdym razie Selenici są to istoty rozumne i ciekawe, więc jeżeli znaleźli naszą sferę, to będą się jej przypatrywali, będą badali, a gdy wejdą do wnętrza, natrafiają na sprężyny i nacisną je... spuszcza okienice cavoritowe... to polecą w przestrzeń, i pozabawiając nas na zawsze możliwości powrotu na ziemię. Dziwne istoty, dziwna wiedza...

(d. c. n.)

Ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska.

W mieście naszym zmarła w końcu października autorka, której młodzież wiele zawdzięcza. Jej bowiem przeważnie poświęciła swe pióro, tworząc wiele opowiadań, powieści, komedij i t. p. Któż nie zna „Wieczorów z babunią?” ślicznego „Dzienniczka Elżuni” (nagrodzonego na konkursie im. Sikorskiej) i wielu, wielu innych prac, które zaciekały, bawiły i umoralniały młodzież. Czytelnicy nasi znajdowali nieraz jej utwory na szpaltach „Wieczorów Rodzinnych” od początku ich istnienia aż do ostatnich czasów.

Donosząc o śmierci ś. p. Izdebskiej, podajemy kilka szczegółów o jej życiu i działalności. Urodziła się w Warszawie z ojca Antoniego Rogozińskiego i matki Salomei z Magnuszewskich. Wyniosła z domu staranne wykształcenie, a że Bóg ją obdarzył sercem kochającym i darem pióra, więc, już po wyjściu za mąż za ś. p. Józefa Izdebskiego, w r. 1860 poczęła pisywać powieści dla dzieci do „Czytelni Niedzielnej”. Zachęcona powodzeniami uznaniem napisała większą powieść, „Wieczory z babunią” „Wianek” zbiór powiastek i wspomnień historycznych, „Pa-

miętnik babuni", „Naszyjnik babuni", „Wiązka bławatków" „Praca bogactwem". Pisywała komedijki, zawarte w zbiorze „Teatrzyk dla młodzieży;" Oprócz prac dla młodzieży napisała piękny dramat historyczny, nagrodzony na konkursie Bretkreiza w Poznaniu, a osnuty na tle walki Grzymaliów z Nałęczami. W pracy, nagrodzonej na konkursie „Biblioteki Warszawskiej" p. t. „Wiano macierzyńskie" wyraziła szlachetne poglądy na wychowanie dziewcząt, a w ostatnich latach zanim ją nawiedziła ciężka niemoc, zajęta była większym dziełem, które miało nosić tytuł „Kobieta w pochodzie wieków".

Za czterdziestoletnią owocną pracę należy jej się wdzięczna pamięć u młodzieży, u przeszłych i przyszłych jej czytelników, i serdeczne westchnienie do Boga o spokój dla jej duszy.

SZARADA.

(z Maryampola nad Dniestrem).

Pierwsze z piątem, zwierzątko domowe,
Zgrabne, zwinne do figlów gotowe.
Drugie, samo, odwrotnie, rzecz z nabiału znana,
Przez dobre gosposie smacznie przyrządzana.
Czwarte z pierwszym, jeżeli coś sobie schowamy,
Bez tego w momencie już to postradamy.
Trzecie, środkowe sam sobie dołoży,
Jeśli domyślny, kto poprzednie złoży.
Wszystko rzecz mała, ale ważna przecie,
Bo tysiącami dziś krąży po świecie,
I bywa nieraz z radością witana,
Tem miłsza, gdy je przyśle osoba kochana.

ŁAMIGŁÓWKA Z HISTORII SZTUKI.

ul. Żabka z nad Rosi.

| | |
|--------|-----------------------------|
|* | Malarz współczesny. |
|* | Malarz z XVII w. |
|* | Malarz z XIX w. |
|* | Malarz z XIX w. |
|* | Malarz nadworny Augusta II. |
|* | Malarz z XIX w. |
|* | Malarz z XVIII w. |
|* | Malarz z XVIII w. |
|* | Malarz z XIX w. |
|* | Malarz z XVIII w. |
|* | Malarz z XVIII w. |

Zastąpić kropki i gwiazdki literami i utworzyć nazwiska malarzy polskich; litery oznaczone gwiazdkami, mają złożyć nazwisko słynnego malarza z ostatnich czasów.

ROZWIĄZANIA DO NRU 43-go.

Szarady: Fant — azya.

Łamigłówni sylabowej:

1) Europa. 2) Lewkonja. 3) Żbik. 4) Buchara. 5) Ilnicka. 6) Edredon. 7) Teby. 8) Algebra. 9) Drumla. 10) Rostów. 11) Urania. 12) Żyto. 13) Bałtyk. 14) Agram. 15) Czarnolas. 16) Korsyka. 17) Antyoch.

Elżbieta Drużbacka.

Zagadnienia arytmetycznego z Nru. 42:

Odjąwszy jednego gołąbka od stu, zostanie 99. W tej liczbie mieści się podwójna liczba lecących gołębi, połowa jej i czwarta część, to jest $1 + 1 + \frac{1}{2} + \frac{1}{4}$ co czyni razem $2\frac{3}{4} = \frac{11}{4}$. Zatem 99 stanowi $\frac{11}{4}$ część poszukiwanej liczby gołębi, która wyniesie 36. Oto zestawienie liczb: $36 + 36 + 18 + 9 + 1 = 100$.

Zadanie to, które mówiąc nawiasem jako umieszczone w dodatku, było przeznaczone właściwie dla młodszych prenumeratorów „Wieczorów," rozwiązało bardzo wielu czytelników różnemi sposobami. Oto cały ich szereg: Czesia, Mrówka, Marylka Bohdanowicz, Micia Kramkowska, Bohdan Straszewicz, Lucio C., Adam Tarnowski, Stanisław Berkan, Niezapominajka, Andrzejek Oczkowski, Irenka z nad Bałtyku, Gołąbek z Wilna, Spartanka, Longinus Podbipięta, Ludwik Mańkowski, Niunia, Feliks Dzikiewicz, Irenka Straszynska, Lucyan Benedycki, Biała Kulka, Litwin z nad Świętej, Renia Potworowska, Mietek z Włocławka, Kmicic, Henryk Fux, Maryla z nad Tykicza, Wacław Rej... Bezimiennie, Orzeł Czuby, Archimedes, Adam Ja... Ogrodniczka, Kukulka, Zosia Krakowska, Janusz Grosser, Łyżwiarz, Jan Dzwigalski, Duch Puszczy, Jakubowski, Stefan Purski, Aluś i Żenia Klotz, Zbyszko, St. Malinowski, Zosia Woł... Julian Łempicki, Czarnuska, Grażyna, K. Milieski, Maryńcia Ilnicka, Wandzia, Władysław Szymański, Kleopatra, Sęk, Tuhaj-Bej, Podolanka z Pobereża, Ponury Sęp, Tadeusz Homulka, Litw., Januś Wolmer, Żabka z nad Rosi, Ania Bernowska, W. B., Wanda Peretjatkowicz, Ewa L. Wandzia Lipińska, Gwiazda Morska, Łukasiewicz, F. Garczyński, Julia S. Dzika Litwinka, L. Kramsztykówna, Helczyński, Lew kartagiński, Orzeszek leśny i Fglarz z pod Burska, Rutka Witnerówna, Grodzińska, Januś S., Stasia Orzeszkowska, Jadzia Marszewska i E. Traeger.

Każde z dobrych rozwiązań oznaczyliśmy liczbą kolejną i zgodnie z zapowiedzią dwa numery wylosowaliśmy do nagrody. Wypadły numery 43 (Aluś i Żenia Klotz z Łodzi) i 15 (Ludwik Mańkowski), im więc wysłamy nagrody.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—atósownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) (dokończenie). — Młodości moja, wiersz przez K. Ujejskiego. — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Dzień 10 Listopada 1444 r. (z ryc.) — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Wyprawa po skarby, przez A. Zielińską (z ryc.) — Kot i wróbel, wiersz przez Józefa Wabnera. — Aniołek albo złończka, przez Z. B. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

Wyprawa po skarby.

Ho! ho! moi panicze, Janosik to był zbójnik nielada! — prawil Jurkowi i Stachowi Dobrzyckim stary Szymon Stopka, pilnujący bydła i owiec w dolinie Jaworzynki. — Janosik siła złota i srebra złupił, bogatym brał, biednym dawał, a jeszcze co niemiara po różnych grotach nachował. Toć i w naszej grocie Magóry są skarby ukryte, tylko trzeba trafić na taką szczęśliwą godzinę, to wszystko dostać można.

Staś i Jurek przyjechali z rodzicami na wakacje do Zakopanego i codziennie prawie zachodzili do starego bacy *). Przynosili mu tabakę czyli tytoń, który lubił kurzyć w krótkiej fajeczce, i słuchali jego nieskończonych, a bardzo ciekawych baśni i opowiadań. Pierwszy raz jednak usłyszeli coś, czego prawie ręką dotknąć mogli. W tej ślicznej dolinie, gdzie po złomach granitów toczył się ze szmerem strumyk Jaworzyński, od wschodu sterczał nagi Opaleniec, od zachodu lesisty grzbiet Czoła Jaworzyńskiego, a w górze dolina rozgałęziała się i jedną odnogą podchodziła pod Kopę Magory, gdzie właśnie była owa grot.

Sobek tak żywo stawiał przed oczami chłopców rzeczywistość owych skarbów, takie im opowiadał szczegóły, że im się zupełnie głowy zawróciły.

Dnia jednego wracali w milczeniu do domu, nareszcie Juraś przemówił:

— Słuchaj Stachu, a gdybyśmy tych skarbów poszukali? Sobek powiada, że aby mieć odwagę, bo *zły* skarbów pilnuje i nie odstąpi. Przecież ani ja, co już jestem w czwartej klasie, ani ty w takie bajki nie wierzymy...

— Jeszcze nie jesteś w czwartej klasie, dopiero masz promocję — przerwał młodszy brat.

— To nic, to już wszystko jedno, mam odwagę i... basta! Słuchaj, co by to powiedział wujcio, żebyśmy tak jaką kwartę dukatów przynieśli!... potem resztę możnaby było zabrać. Odkupilibyśmy Dobrzycką Wolę, której mama tak zawsze żałuje, o! i dalibyśmy dużo pieniędzy dla biednych!

— Ależ Jurasiu! trzebaby się spytać rodziców, czy na taką wyprawę pozwolą?

— Właśnie, że nie można się pytać! Przecie słyszałeś, co mówił baca:—kto śmiały, powinien iść o świecie, póki słońce nie wejdzie, przejść tą drogą przez dolinę, gdzie się kończy las a zaczyna kosodrzew, potem ścieżką w Zakosy po zwirowym zboczu góry, aż pod same turnie

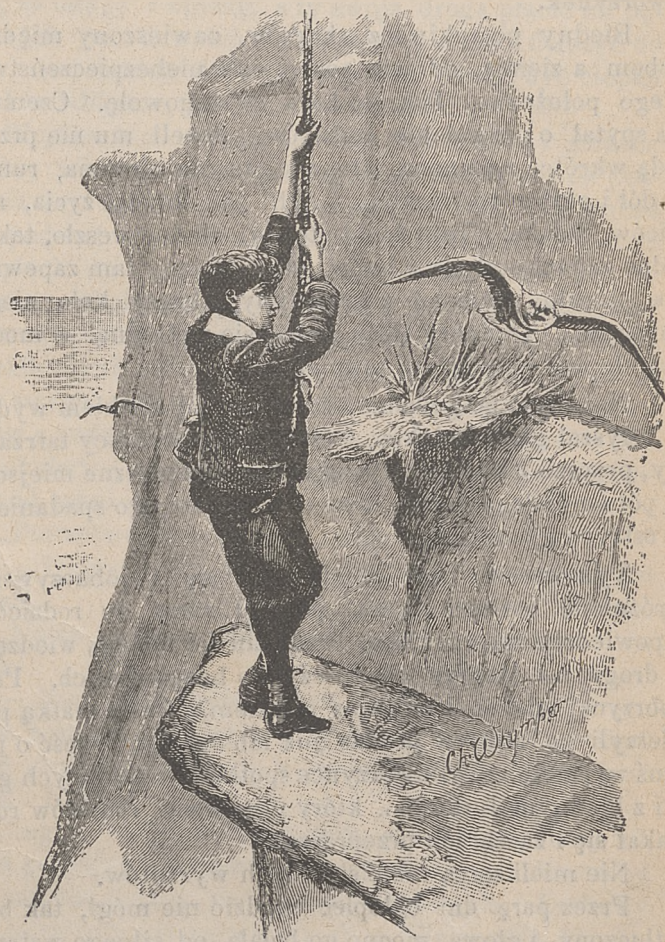
Magóry, wejść nareszcie do otworu głazami zasłanego, ale nie więcej jak samotrzeć, a nikomu innemu nie wspominać," rozumiesz, samotrzeć, to znaczy we trzech, więc dobierzemy sobie jeszcze Jóźka Stopkę, wnuka bacy...

— O! Jurku, to chyba niedobrze, tak bez pozwolenia...

— Tchórz jesteś i kwita... zostań, ja sam pójde z Jóźkiem, już się z nim umówiłem.

Chłopcy, wróciwszy do domu, dowiedzieli się od słuzącej Małgosi, że rodzice poszli na herbatę do sąsiadów. Ulżyło to poczcziwemu Stasiowi, który czuł, że powinien wszystko mamie opowiedzieć. Zjedli potem wieszerzę i utrudzeni daleką przechadzką, wkrótce zasnęli.

Ledwie świt zrumienił niebo, kiedy do okna pokoju, gdzie spali obaj chłopcy, zastukał mały góralczyk. Śmiały i psotny, uszczęśliwiony był myślą takiej wyprawy. Juraś zerwał się z łóżka, ubrał szybko, włożył barani serdak i wzięwszy przygotowane pudełko zapalek, wysunął się cicho na ganek.



*) Baca, starszy pasterz.

— To ty, Józek? — zapytał, — a masz ciupagę dla mnie?

— A jakże, a panicz wziął siarniczki?

— Są — odpowiedział Juraś — będzie czem łuczywo zapalić.

— A czemuż to panicz Stach nie idzie? — pytał Józek.

— Śpi jak suseł, nie chciałem go budzić, jeszczeby nam przeszkadzał. Dalej w drogę — rzekł śmiało Jurek.

Szybko przeszli najpierw Kuźnice, potem po kładce przez potok Bystrej, Józek znał dobrze drogę do groty, opowiadał, że był tam z jednym bardzo uczonym panem, co skarbów nie szukał, tylko jakieś kości zbierał.

Pod samą Magórą, zaczęli wspinać się po głazach, droga była stroma i bardzo przykra, góralczyk szedł przodem, niosąc na plecach pęk łuczywa. Opowiadali sobie, jak przy wejściu do pieczary zaświecą, bo trzeba szukać szczelin w ścianach, żeby na właściwą kryjówkę natrafić.

Z trudnością szedł Juraś za swoim przewodnikiem, mimo rannego chłodu, pot zlewał mu czoło, naraz stał pnął nieuważnie, kamień usunął się z pod jego nóg, upadł, staczając się w przepaść... Krzyk przerażenia wybiegł z ust Józka, nie mógł żadnej dać pomocy towarzyszowi. Na szczęście duży sterczący głaz wstrzymał spadającego, za tym głazem był występ skalny, niby ganek jakiegoś gmachu...

— Paniczul! — wołał przerażony Józek — trzymajcie się tego smereczka, co obok wyrasta, a nie patrzcie w dół bo wam w głowie zakręci... ja polecę po ratunek do Jaworzynek.

Biedny poszukiwacz skarbów, zawieszony między niebem a ziemią, odrazu poznał całe niebezpieczeństwo swego położenia. Tak, to kara za samowolę. Czemuż nie spytał o pozwolenie rodziców. Jeżeli mu nie przybędą wkrótce z pomocą, długo się tu nie utrzyma, runie na dół i głowę roztrzaska... Ach! jak mu żal życia, rodziców, Stacha! Taki świat pękny! słońce weszło, takie cudne zapachy płyną z lasów, orlik mający tam zapewne swe gniazdo, wyleciał z rozpadliny i krąży koło niego z piskiem... O! dobry Boże zmiłuj się nademną! — modli się chłopiec — ześlij mi ratunek.

Nareszcie po godzinie, która mu się wiekiem wydała, usłyszał głosy ludzkie... Górale przewodnicy tatrzańscy, przyszlizli z linami i wyciągnęli na bezpieczne miejsce, na pół omdlałego Jurka, mocno potłuczonego spadaniem po ostrych głazach...

Tymczasem Staś obudziwszy się i zobaczywszy opróżnione posłanie brata, pobiegł zaraz do rodziców i opowiedział im wszystko. Przerazili się mocno, wiedząc, że droga na Magórę nie należy do bezpiecznych. Pan Dobrzycki udał się tam zaraz wózkami, Staś z matką pośpieszyli za nim, w drodze już ich spotkała wieść o jakimś wypadku... W Jaworzyńcu spotkali wracających górali z biednym Jurkiem... który ujrawszy rodziców rozplakał się i zaczął ich przepraszać.

Nie mieli serca robić słusznych wyrzutów.

Przez parę dni chłopiec chodzić nie mógł, tak był potłuczony i głowa mocno go bolała od silnego wstrząśnienia, była obawa nawet poważniejszej choroby.

Kiedy nareszcie już wrócił do zupełnego zdrowia i raz jeszcze przeproszał rodziców za zmartwienie, jakiego stał się dla nich powodem, rzekł mu ojciec:

— Niech ci ten wypadek będzie nauką, że zaufanie do rodziców chroni dziecko od wielu błędów i przykrych wydarzeń. Pamiętaj też o tem, że bogactwo powinno być tylko pracą zdobyte, a wszystko co ślepy traf nam daje, najczęściej jest bajką i omamieniem, prowadzącem ludzi do zguby.

A. Zielińska.

Kot i wróbel.

Kto kopie pod kim dolki, sam w nie wpada snadnie,
Powiedział to kot pewien, co tak działał zdradnie.
Łowił wszędzie, szpiegował. — Gdzie tylko ptak siedzi,
Ten żarłok go z pewnością podstępnie wyśledzi.

Raz spostrzegł — pod lufcikiem, tuż obok futryny,
Siadł wróbel, żeby zebrać leżące kruszyny,
Które tam dlań sypała sama pani domu.
W to mu graj!

Zasadza się matus pokrywom.

I czeka, aż znów zleci ten dla jego gąbki
Smaczny kasek; — już naprzód ostrzy sobie ząbki.

Przybył wróbel: — skok jeden! i już kot biedaka
Trzyma w łapach, — nie chybił. Lecz cóż to? choć ptaka
Schwył z ręcznie okrutnik w swe ostre pazury,
Nie przewidział, że na dół sam się zwali z góry.
Potłukł się, i spadając wypuścił zwierzyne...
O! trzeba było widzieć wtedy kota minę.

Józef Wabner.

ANIOŁEK ALBO ZŁOŚNICZKA.

Byla raz mała Anielcia, którą nazywano czasem aniołkiem a czasem złoścniczką. Aniołkiem, kiedy była grzeczną, złoścniczką, kiedy grymasiła i tupiała nóżkami.

O, bo Anielka potrafiła porządnie grymasić. Miała wtedy brzydką buzię, wykrzywioną od płaczu. Fe! nikt na nią spojrzeć nie chciał, bo któżby lubił złoścniczkę?

Ale Anielcia bywała też i bardzo grzeczna. Opiekowała się braciszkiem, usługiwała mamie, a nawet umiała już obrabiać chusteczki. Mama cieszyła się grzeczną córeczką i mówiła:

— Zobaczycie, że złoścniczka nigdy już nie wróci.

Tymczasem wróciła, a było to tak: Anielcia bawiła się piaskiem w ogrodzie. Przesypywała piasek garnuszkami, robiła z niego babki, zrobiła nawet śliczną bułeczkę.

Bułeczka była tak podobna do prawdziwej, że pies Azorek złapał ją zębami.

— Puść! — krzyknęła Anielcia — a pójdziesz, a pójdziesz! — wołała coraz głośniej.

Lecz Azorkowi spodobała się zabawa w piasku, drapał po nim łapkami a ogonkiem wywraçał babki.

To rozgniewało Anielkę.

Tupała nóżkami, szarpała pieska, krzyczała z całych sił, aż mama przybiegła zobaczyć, co się stało.

— Wróciła złościczka! — zawołała biedna mama, i zmartwiona grymasami Anielki, zaprowadziła córeczkę do pokoju. Było tam krzyku nie mało, aż wstyd mi pisać o tem. A czy ciekawi jesteście wiedzieć, co się potem stało?

Z. B.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg)

Teraz ty wyjdź sam — rzekł jeden — gdy się oddalisz ode mnie, ja pójde w przeciwną stronę. Schowałeś dobrze kosztowności?

— Tak, tylko nie wiem, co z psem zrobić, boję się, aby mnie nie zdradził, nie mam mu czem łba okręcić.

— Puść go, biedować się jeszcze z taką marnotą.

— Szkoda, wart kilka rubli.

— Tak, a kilkaset przez niego można stracić.

I rzucili coś białego między deski, wybiegli z bramy, a do uszów drżącego i przerażonego Wojtaszka, doszedł cichy pisk, który później zupełnie ucichł.

Przejęty obawą, aby złodzieje namyśliwszy się, nie wrócili po pozostawioną zdobycz, Wojtaszek godzinę całą siedział w bramie, dopiero kiedy stróż miał ją zamknąć, schylił się, wziął dyszące zaledwie stworzenie na ręce i dmuchał mu w pyszczek, chcąc przywrócić do życia.

— Szkoda, żeby miało zmarnieć to śliczne, kudłate psiątko, mogłoby być zabawką dla Nelli, a może nawet potrafiłbym je wyuczyć jakich sztuk. Zaniosę do komórki pod schodami, może wyzdrowieje. Zobaczymy później, co z tego będzie za pożytek!

Teraz Wojtaszkowi przybyło jedno zajęcie więcej. Przyrządzając śniadanie dla siebie i Nelli, składające się z małego garnuszka mleka i kawałka chleba, niewielką porcyę odkładał i niósł do schronienia; postanowił przynieść pieska Nelli wtedy dopiero, gdy będzie zupełnie zdrow. Wkrótce biedne stworzenie istotnie odzyskało humor i zdrowie, było tylko potłuczone, więc Wojtaszek, zadowolony niezmiernie, już go miał przynieść dziewczynce w podarunku, aby jej osłodzić samotne siedzenie w domu, bo z powodu niepogody i zimna, nie prowadził jej z sobą po podwórkach, gdy niespodziewanie spotkał się z wymówkami i złym humorem pana Szymona.

— I cóż ty włóczęgo myślisz, że ja jeszcze przez

zimę trzymać was będę za tę marną zapłatę? Zbierajcie manatki i szukajcie innej stancyi.

Wojtaszek wystraszył się.

— Ależ, panie Szymonie, panie kochany, jeszcze trochę cierpliwości. Niedługo może będę mógł podać ogłoszenie do gazet, to się po nas zgłoszą, gdzie ja będę szukał mieszkania!

— Będiesz mógł podać ogłoszenie, a skąd weźmiesz pieniędzy? A może ty je już masz, powiedz no, co? — i pociągnął Wojtaszka za ucho. — Możesz mi się przecież przyznać, bom ja wasz opiekun, no i zaufać, zaraz pójde do biura i podam ogłoszenie do Kuryera, przecież mnie znacie, żem wam życzliwy!

Oj tak, tak, znali go, znali dobrze, wiedzieli, jak to pan Szymon ogłoszenia podaje; pieniądze zmarnował, dzieci wyzyskiwał i łudził obietnicami.

— Pieniądzy nie mam, panie Szymonie, ale mam nadzieję większego zarobku.

— Zarobku, a to u kogo? czy stały będzie ten zarobek?

— Tak, właściciel piwiarni zgodził mnie. Będę grywał gościom trzy godziny dziennie, za to dostanę 50 kop.

Pan Szymon tak się uniósł, że aż wyskoczył na środek stancyi.

— A to wyzyskiwacz, niegodziwiec! — zawołał — to on cię myśli tak marnie wynagradzać, za trzy godziny muzyki? O, nic z tego, ja na to nie pozwolę, on musi ci zapłacić po rublu! Pójde do niego i wytarguję! Tak, wytarguję, rozumiesz chłopcze, ale pół rubelka będzie moje, za fatygę i opiekę, a ty swoją drogą płacić mi będziesz tak jak dawniej, i coś jeszcze musisz dołożyć do opału, bo przecież dla tego maleństwa musi być ciepło! To takie delikatne, jak figurka z porcelany!

Wojtaszek z trwogą spojrział na blade i smutne dziecko, załem ścisnęło mu się serce, że tak powoli pracuje na jej wyzwolenie, i w myśli obliczał, czy będzie mógł podołać wymaganiom szewca, jeśli jeszcze osobno każe płacić za opał. Bał się przytem, czy właściciel piwiarni zgodzi się na żadaną zapłatę przez mniemanego opiekuna i cofnie swoje przyrzeczenie. Usiadł w kącie i gorzkie czynił sobie wyrzuty, że niepotrzebnie wygadał się ze swych nadziei, a tymczasem pan majster chciwy zysków z cudzej pracy, wpadł w wyborny humor. Nałożył okulary i czytając ogłoszenia w Kuryerze, pomrukiwał od czasu do czasu:

„Potrzebny zaraz zdolny uczeń stolarski.

— To mnie nic a nic nie obchodzi, niech szuka, to znajdzie.

„Nowe, eleganckie mało używane kamasze do zbycia.

— Niemądry, ogłasza stare buty! Komu pięknego obuwia potrzeba, do mnie przychodzi i ma natychmiast dobrze zrobione. Bogaci u mnie biorą, a bieda boso chodzi. Ho! ho!

„Zaginął mały, biały piesek, pinczer, wabi się Bil, jedyna pociecha i zabawa chorego chłopca, któremu od czasu zaginięcia psa, znacznie się pogorszyło. Łaskawy znalazca zechce się zgłosić na ulicę Wiejską Nr. 12, nagrody rub. 15.”

(c. d. n.)

SZARADA.

p. Machegę.

Trzeciego-drugiego dużo jest w oborze,
Drugie-trzecie po wsi chadzają po dworze,
Pierwsze to we Francyi wójt albo starosta,
Wszystko bożek tych ludzi, których prawo chłosta.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA

uł. Bocian z nad Mereczanki.

A, d, i, j, k, l, n, o, o, o, p, s, w, w, y.

Z rozsypanych powyższych liter ułożyć tytuł powieści Sienkiewicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady: Szyld — kret.

Arytmogryfu kryształowego:

| | | |
|---|---|---|
| | P | |
| | k | o |
| P | o | t |
| | r | o |
| | P | |

Łamigłówni zgłoskowej:

I organista bywa Salomonem między ratajami.

Skrzynka do listów.

Kokoszce wysyłamy zaginiony numer. Adres twój dołączono do roboty konkursowej.

Czesi książeczkę wysłaliśmy, należne nam kop. 20 i za przesyłkę kop. 6 zechciej przysłać markami.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Szara Muszelka, Grażyna, K. Milieski, Orla Skala, Jutrzenka, Kokoszka, Kasztelanka, Dzieci z Maryampola.

Trzem Raczkom z Siedlisk. Nie uwierzycie, jak wielką sprawiliście mi przyjemność listem swoim i wiadomościami, które interesują mnie tak żywo! Bo czyżby mogło być inaczej, nieznajome a znane, dalekie a sercu bliskie, — jesteście jedne z najdawniejszych mych korespondentek. Z radością też śledzę, jak z pracowitych i dobrych dzieci rozwijacie się w panienki, które nie zawiodą nadziei w dzieciach położonych i wyrosną na dzielne i zacie nie wiasty. Wielka to zmiana w życiu waszem przeniesienie się na całą zimę ze wsi do miasta, sędzę jednak, że dla was przyjemna, zwłaszcza że pożegnanie nie smutne, i z nadzieją rychłego powrotu na wiosnę. Nie wątpię, że pod względem umysłowym skorzystacie bardzo wiele w mieście, gdzie jest tylu usposobienia wasze, pełne życia, werwy i wesołości, jestem pewna, że wolny czas od studiów popłynie wam pożytecznie i przyjemnie. Chciejcie jednak podzielić się ze mną swymi wrażeniami. Pierwszy Raczek jak widzę zaczyna potrochu wstępować w świat, kiedy był drużką na weselu. Mnie popsuła wakacje szkaradna aura. Grywałam dość dużo w ping-pong, pocieszając się po tenisie, któremu deszcz ciągle prawie stawał na przeszkodzie. Nowy wasz adres redakcja zapisała.

Witam cię Rózo bez Kolców i wdzięczna jestem za radość z mego powrotu, ale stwierdzaj je czynami w postaci częstych listów. Domysły twoje co do mej osoby są mylne. Z drugiej części twego listu widzę, że różne myśli i marzenia roją się w twej

główce, lubię, gdy się niemi ze mną dzielicie, odczuwam i rozumem wasze dążenia, porywy i pytania stawiane, nieznanej przyszłości. Co ona przyniesie? Jaką ja będę? Odpowiem ci słowami tej, która ukochała wiek wasz, talent swój i pracę wam w ofierze przyniosła. Paulina Krakowowa tak mówi do młodych panienek.

Jak zorza, bądź wcześniej rodziny pociechą;
Jak słowik, do Boga wznies modły i dzięki;
Jak pszczołka bądź czynną pod cichą swą strzechą;
Dla swoich rozkwitaj w przymioty i wdzięki...
Nie daj się omamić pochlebnym oklaskiem,
Co próżność tak lechce i ucho tak pieści;
Nie szukaj pochwały, uciekaj przed blaskiem:
Być szczęściem kochanych — to udział niewieści.

Orleju Skale. Widocznie zakradła się jakaś pomyłka, ale już ją sprawdzono i *Wieczory* wysłano. Zaginiony dodatek przysłemy. Winszuję ci świeżo pozyskanej godności ciotki, pamiętam, jak się czułam szczęśliwa, gdy mój najstarszy siostrzeniec obdarzył mnie tym tytułem. Aby ułożyć dobrze i prawidłowo zwykłą łamigłównę trzeba niemało „pałamać” sobie głowy, a cóż dopiero gdy się chce wymyślić coś nadzwyczajnego — to rzecz nie łatwa, jak się o tem sama przekonałaś, ale przy ochocie i pracy może zwalczysz trudności i obdarzysz *Wieczory* właśnie taką nadzwyczajną.

Ze wszystkich stron kochana Baniuto skarżą mi się moi korespondenci na pogodę, która nas podczas wakacji zawiodła; niewiele nam te utyskiwania pomogą, ja wolę wraz z tobą cieszyć się zapowiedzią stałej zimy i przyjemnej ślizgawki, bez ciągłych słot i odwilży. Dowiaduję się z przyjemnością, że tak ci się podoba ją i zajmują powieści tegoroczne, i na rok przyszły mamy już materiały niemiennie zajmujące. Posyłam ci na kartce adres *Halki z nad Teterowa*.

Jaka szkoda Kasztelanko, że dziwna nieśmiałość wstrzymała cię od przysyłania wypracowania na konkurs. Listy twoje tak dobrze pisane, rysunek (przypuszczam, że własnoręczny) udatny, jestem prawie pewna, że należałabyś może do nagrodzonych. Ale co się odwlecze — to nie uciecze. W przyszłym roku częściej konkursu ogłaszać będziemy, widząc jak wielka liczba czytelników bierze w nich chętny udział. Roboty wkrótce będą sądzone.

Nie mylisz się Szara Muszelko, zwąc mnie waszą „szczera przyjaciółką” jestem nią i zawsze za taką pragnę być przez was uważaną. Z wypracowań nagrodzonych zaledwie jedno lub dwa drukowane być mogą. Zagadki twoje bardzo są znane, łamigłównę zostawiłam w redakcji.

Szara Muszelka zapytuje za moim pośrednictwem *Lilli Wenedy*, czy chce z nią zamieniać karty pocztowe, w razie przychylnej odpowiedzi proszę obie panienki o adres.

Marusi W. Oba numera redakcja wysłała, musiały zaginąć na poczcie, wysyłamy je powtórnie.

Pozdrawiam cię na tem miejscu kochana Halko z nad Teterowa, a jednocześnie kartkę do ciebie wysyłam.

Złota Przędza i Wajdelotka pierwszy raz zapukały do mej skrzynki. Przyjmuję je równie serdecznie, jak mnie każda z nich powitała — a kartki uważam za wstęp do stałej korespondencji,

z przyjazną wam

Jaskółką.

Żarcik na zakończenie.

6-letni Tomek zaczyna ubierać się sam.

— Dlaczego przewracasz pończochę na lewą stronę? — pyta go matka.

— Bo na prawej jest dziura — brzmi odpowiedź.

O f a r y .

Na Kolotnie letnie złożyły: Mania i Jadzia Odyńcowy rub. 10.

Dla najbardziej potrzebujących: S. M. rub. 1.